



SZTYLET i PŁOMIEŃ





**TAJEMNICE
FANTOME**

TOM I



SZTYLET i PŁOMIEŃ

Przełożyła ZUZANNA BYCZEK

**CATHERINE
DOYLE**

**JAG
UAR**

Tytuł oryginału: *The Dagger and the Flame*

Copyright © Catherine Doyle 2024

Copyright © for the Polish translation by Zuzanna Byczek

Redakcja: Marta Tojza

Korekta: Renata Kuk, Marta Stochmialek

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Ilustracje okładkowe: Micaela Alcaino

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Anna Jedlikowska

Wydawczyni: Natalia Sikora

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz

Promotorki: Zuzanna Barańska, Emilia Mazur, Aleksandra Sękowska

Copyright for the Polish edition © 2025 by Wydawnictwo Jaguar

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-68383-37-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2025

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

**JAG
UAR**

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

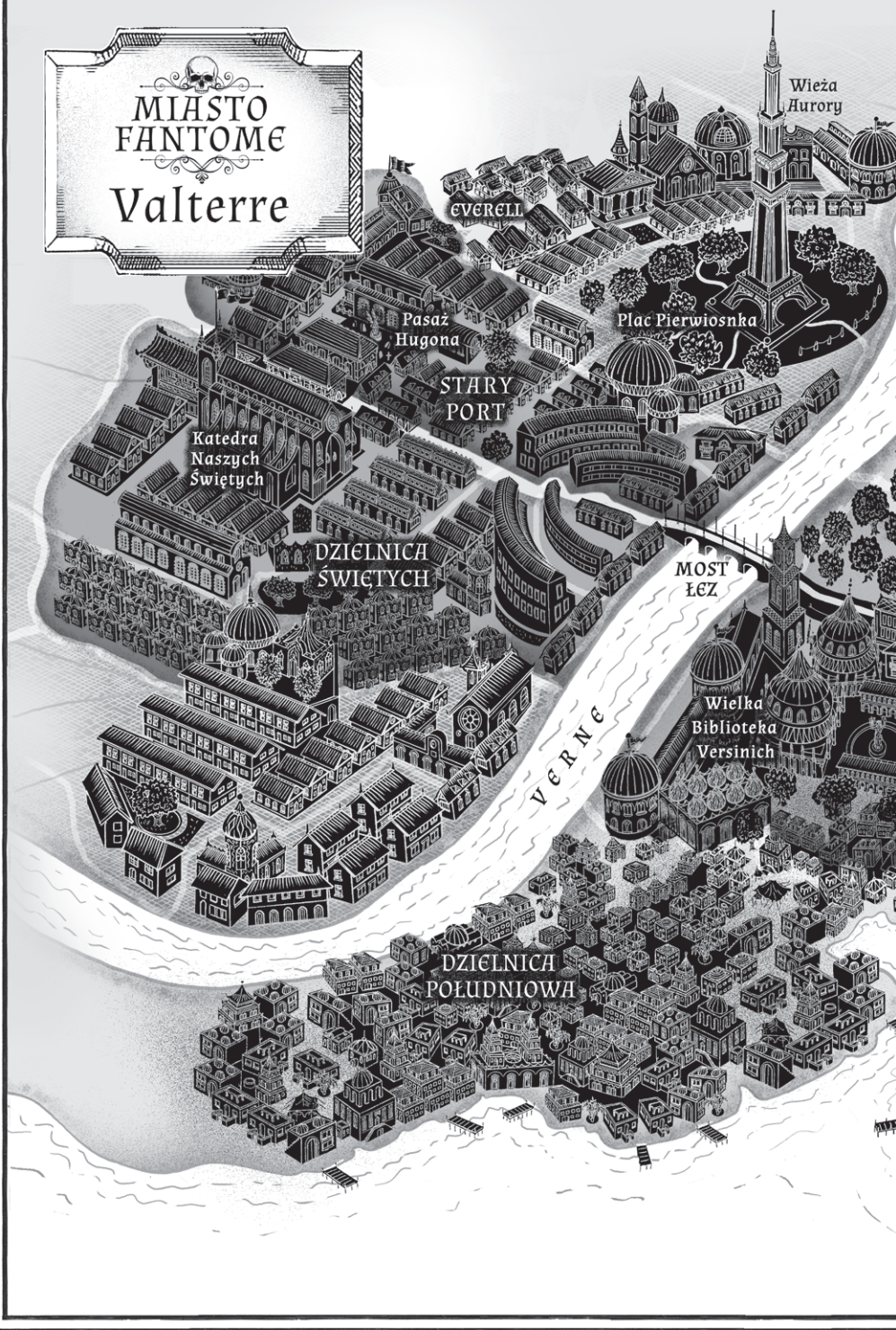
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

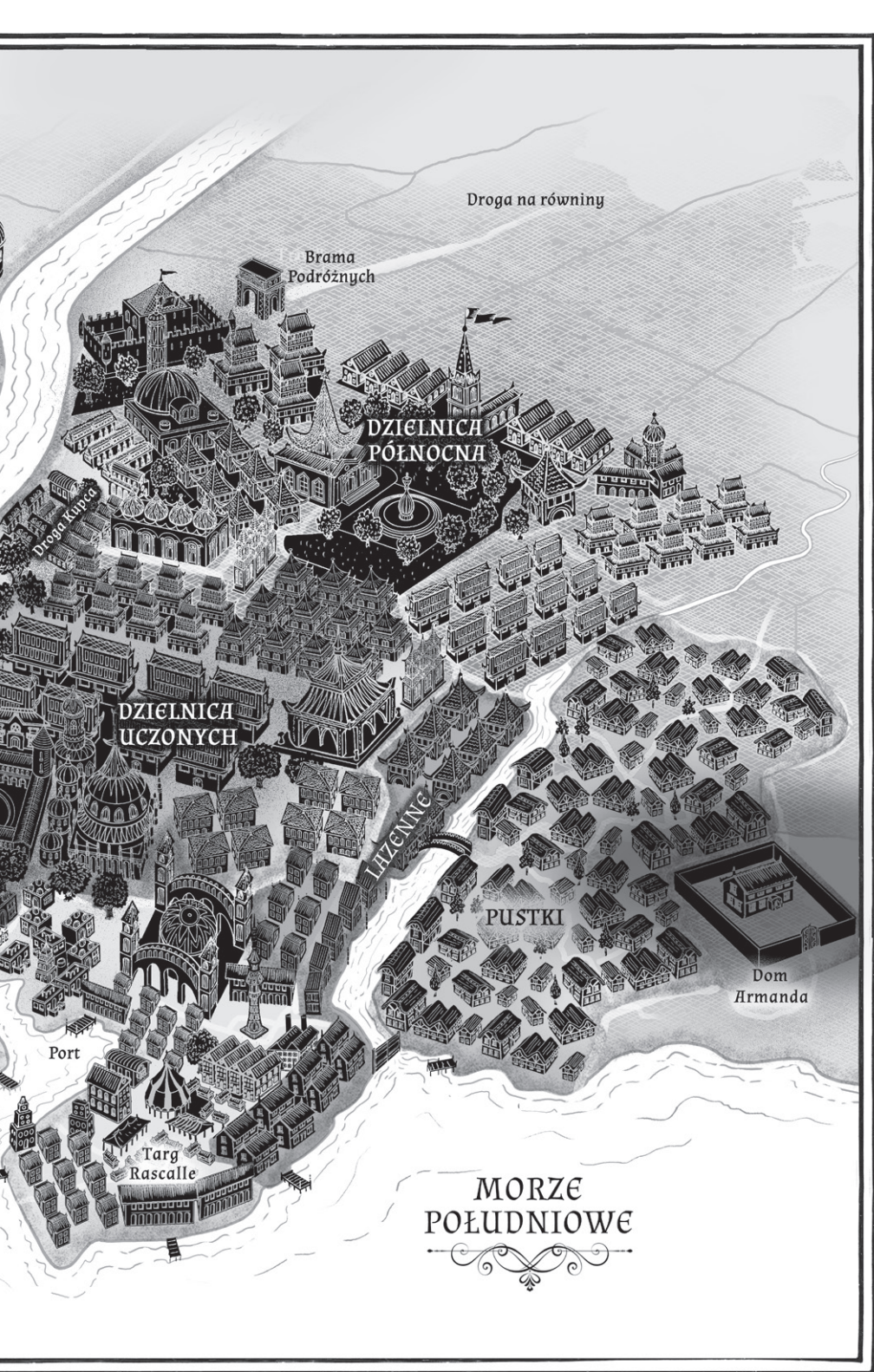
Druk i oprawa: Abedik

Wydrukowano na papierze Optibook 70/2,0.

*Dla Rachel Denwood,
która rozdmuchiwała iskry tej opowieści
w prawdziwy płomień.*

MIASTO
FANTOME
Valterre





Droga na równiny

Brama
Podróżnych

DZIELNICA
PÓŁNOČNA

Droga Kupa

DZIELNICA
UCZONYCH

IZENNE

PUSTKI

Dom
Armanda

Port

Targ
Rascalle

MORZE
POŁUDNIOWE

LISTA GRACZY



ZAKON SZTYLETÓW

Hugo Ralphe Versini – założyciel Zakonu Sztyletów

Gaspard Dufort – przeor Zakonu Sztyletów

Ransom Hale – Sztylet

Lark Delano – Sztylet

Nadia Raine – Sztylet



ZAKON PŁASZCZY

Armand Versini – założyciel Zakonu Płaszcz

Madame Cordelia Mercure – przeorysza Zakonu Płaszcz

Madame Josephine Fontaine – była przeorysza Zakonu Płaszcz

Valerie – Płaszcz

Sabine Fraser – Płaszcz

Theodore Branch – kowal ciemności



Sylvie Marchant – szmuglerka Mroku

Seraphine Marchant – jej córka



DYNASTIA RAYERE, ICH KRÓLEWSKIE MOŚCI

Bertrand IV – król Valterre

Odette I – królowa Valterre



ŚWIĘCI PATRONI VALTERRE

1. Calvin – patron śmierci
2. Celiana – patronka poezji i pieśni
3. Frederic – patron farmerów i myśliwych
4. Maud – patronka utraconej nadziei
5. Maurius – patron podróżujących po lądach i morzach
6. Oriol – patronka przeznaczenia
7. Serene – patronka zwierząt
8. Alisa – patronka chorych
9. Cadel – patron wojowników
10. Calliope – patronka młodości i piękna
11. Placido – patron pokoju
12. Jasper – patron rzemieślników
13. Lucille Versini – patronka uczonych

CZĘŚĆ I



„Bierz tylko tyle, ile uniesie twój płaszcz i ile udźwignie twoje sumienie”.

Armand Versini
założyciel Zakonu Płaszcz

„Ci, którzy nie chcą władać sztyletem, zginą od jego ciosu”.

Hugo Versini,
założyciel Zakonu Sztyletów

Wcześniej

Księżyc, niczym latarnia na niebie, wisiał wysoko nad dzikim sercem równin, daleko za migotliwymi światłami miasta Fantome, oblewając miękkim srebrnym blaskiem dom należący do matki Seraphine Marchant. Poświata sączyła się przez okno do środka i płąsała po kartach książki. Przez chwilę Seraphine wyobrażała sobie, że ciekawski księżyc czyta jej przez ramię. Przewróciła stronę. Słowa rozmazywały jej się przed oczami, powieki same opadały. Powinna spać, ale nie mogła przecież przerwać lektury w tak ekscytującym momencie. Chociaż czytała tę historię już osiem razy. Chociaż miała już siedemnaście lat i była za stara na baśnie.

Śpiący Pippin grzał jej palce u stóp. Był psem w słusznym wieku, w dodatku pozbawionym jednej łapy, toteż nie dbał o fantazyjne historyjki kreślone atramentem na papierze. Interesowały go głównie drzemki, ryby rzeczne i od czasu do czasu kurczaki Perrina.

Nagle Seraphine usłyszała siarczyste przekleństwo i wyjrzała przez okno. W ogrodzie mama stała na czworakach i ostro rugała krzaki lawendy. Gęste czarne pukle zasłaniały jej twarz. Dość nietypowe zachowanie, nawet jak na Sylvie Marchant. Seraphine zmarszczyła brwi i zamknęła książkę. Z krzaków wybiegł kot, a mama zręcznym ruchem schwytała przerażonego zwierzaka. Teraz Seraphine go rozpoznała – był to Figa, nazwany tak, ponieważ często podjadał owoce z drzewa za domem. Nigdy wcześniej mama nie zwracała na niego uwagi.

Teraz wyjęła z kieszeni swetra znajomo wyglądającą fiolkę, wyciągnęła korek zębami, po czym wlała jej zawartość do pyszczka protestującego

kota. Pippin uniósł łeb z niskim warknięciem. Seraphine poczuła dziwny niepokój.

Mama postawiła Figę na ziemi. Zaczął uciekać, ale nagle gwałtownie przystanął. Zrobił jeszcze jeden krok i oto z jego gardła wydobyło się przejmujące wycie. Seraphine jeszcze nigdy nie słyszała tak strasznego dźwięku, a zawarty w nim ból wywołał u niej ciarki na plecach. Pippin cały się zjeżył.

Przycisnęła nos do szyby i w niemym przerażeniu patrzyła na drobne ciało Figi wstrząsane potwornymi dreszczami. W ciągu kilku sekund powiększyło się dwukrotnie i nie przestawało rosnąć. Po chwili kot już ani trochę nie przypominał siebie. W ogóle nie wyglądał jak kot. Zmienił się w bestię. Głęboka czern sierści zdawała się zlewać z ciemnością nocy. Z beczkowatej piersi jak macki wysnuły się dziwne cienie. Część z nich popęzła po ziemi, a niektóre gwałtownie wystrzeliły wysoko w górę. Mama odskoczyła do tyłu, by uniknąć uderzenia, śmiejąc się, jakby zobaczyła zwykłą skakankę.

Seraphine zmroziło.

Księżyc schował się za chmurą, a Figa całkowicie zlał się z ciemnością nocy.

– Kici, kiciii – zasyczała mama.

Ciszę nocy rozerwał ogłuszający ryk. Kiedy chmura się przesunęła i księżyc znów rozświetlił niebo, Figa wyskoczył z krzaków i rzucił się na mamę, szczerząc obślinione kły.

Seraphine skoczyła na równe nogi, zrzucając książkę z kolan, i pobiegła do drzwi. Bardziej poczuła, niż zobaczyła, wybuch jaskrawożłocistego światła za plecami, a potem usłyszała krzyk mamy. Zbiegła po chyboliwych schodach, pokonując po dwa stopnie na raz, złapała miotłę kuchenną i wyskoczyła prosto w ciemną noc, razem ze szczekającym Pippinem, który płał jej się pod nogami.

Pognała do matki. Zatrzymała się gwałtownie, zatoczyła do tyłu, z dzikim wzrokiem i miotłą wzniesioną do ciosu. Monstrualnego kota nigdzie nie było, ale tak czy inaczej krzyknęła:

– Mamo, schowaj się za mną!

Brązowe oczy mamy patrzyły równie dziko.

– Co ty tu robisz, świetliku? – wydyszała. – Powinnaś spać.

Seraphine zamrugała, po czym wbiła ostre spojrzenie w matkę. Sylvie Marchant, cała i zdrowa, prezentowała w uśmiechu dwa rzędy równych zębów. Ale w tym uśmiechu kryło się coś niepokojącego. Seraphine czuła słaby zapach spalenizny, spod którego przebijała dziwna świeża nuta jakby kwiatu cytryny. Wyciągnęła szyję, próbując coś dostrzec w ciemnościach. Pippin już przeprowadzał inspekcję krzaków.

– Gdzie jest Figa?

Mama przechyliła na bok głowę.

– Figa?

– Kot – wyjaśniła Seraphine. Serce biło jej tak mocno, że nie mogła się skupić. – Przemienił się. Rzucił się na ciebie. Widziałam przecież. – Wciąż dzierżyła w dłoniach miotłę gotową do ciosu. – Myślałam, że coś ci się stało. Przybiegłam na pomoc... – urwała. Nagle poczuła, że niczego już nie jest pewna.

Znała magię Mroku. Dorastała pośród niej, obserwowała, jak mama ściera tę moc i zamyka w szklanych fiolkach, jeszcze zanim Seraphine sama zaczęła jej pomagać. Tyle razy zmywała z palców magiczny proszek, że nie umiałaby zliczyć, ale to, co zobaczyła przed chwilą... to było coś innego. Coś większego. Wyłom w zasadach, których przestrzegały tak skrupulatnie od tak dawna. „Dotykaj, ale nie używaj. Nigdy nie próbuj”. Na tę myśl aż się skrzywiła.

– Mamo, co ty wyprawiasz?

Mama dała jej czulego pstryczka w nos.

– Uważaj na tę minę, bo wiatr zawieje i już ci tak zostanie. Chyba że chcesz robić za stracha na wróble.

Seraphine cisnęła miotłę na bok.

– Wiesz, że nie wolno nam mieszać się w...

– Znam zasady – przerwała jej mama. Najwyraźniej nie miała zamiaru przejmować się słowami córki ani poddawać się przesłuchaniu czy krytyce. – Wydaje mi się, że za dużo czytasz, drogie dziecko. Wysłałam poszukać pierścionka. Chyba zgubiłam go w krzakach podczas pracy w ogrodzie.

Kłamstwo zabrzmiało tak swobodnie i pocieszająco, że Seraphine miała ochotę mu się poddać jak promieniowi słońca w środku zimy.

– Chodźmy. – Mama popchnęła ją w stronę domu. – Trzeba przywrócić kolory tym policzkom. Odrobina cukru poradzi sobie z każdym problemem.

Matka zarygłowała tylne drzwi, po czym podeszła do szafki i wyjęła połowę ciasta, które zostało z poprzedniego dnia. Seraphine przyglądała jej się, próbując zinterpretować dziwny uśmieszek i sprężysty krok. Rozległy się odgłosy grzebania w szufladzie, a po chwili na stole zapłonęła pojedyncza świeca wetknięta w ciasto.

Seraphine popatrzyła na matkę ponad płomieniem.

– Masz tajemne urodziny, o których nic nie wiem?

– Już po północy – odparła matka, wskazując zegar ścienny. – A to oznacza, że urodziny obchodzi święta Lucille.

Jej ulubiona święta. Mama miała gdzieś pozostałą dwunastkę – pradawnych, pierwotnych świętych, którzy niegdyś z autentyczną magią w żyłach przemierzali ziemie królestwa Valterre. Lucille, ostatnia z nich, była młoda i bystra i żyła tak niedawno, że wydawała się niemal bliska i namacalna. Była patronką uczonych, a mama uważała się za jedną z nich.

Seraphine wołała jednak złudę opowieści od nieprzewidywalnej natury filozofii. Rzadko się modliła, a jeśli już, to tylko do świętej Oriel, patronki przeznaczenia. Była marzycielką, nie uczoną. Ale przecież nie z winy świętej Lucille. Ani ciasta.

– Wypowiedz życzenie, Seraphine.

Znów zmarszczyła brwi, ale ta noc przyniosła już tyle zaskakujących wydarzeń, że wypowiedzenie życzenia chyba nie mogło nikomu zaszkodzić. Zamknęła oczy i pomyślała o tym samym co zawsze: o niezwykłym losie, wolności, która pozwoli jej wyjść daleko poza ciasne kąty domu na równinach, rzucić się w wir przygód, o jakich czytała w książkach. O życiu, które przyspieszy bicie serca, będzie pełne i autentyczne.

Zdmuchnęła świeczkę, a potem przysiadły z matką na blacie i pochłonęły całe ciasto. Nie wracały do dziwnego incydentu w ogrodzie, ale kiedy Seraphine podeszła do zlewu, żeby umyć talerz, zobaczyła w mydelniczce pierścionek mamy.

Wzięła go w palce, znowu przepełniona podejrzeniami, ale mama tylko się zaśmiała i wyrwała jej go z ręki.

– O proszę, tu jest! Jak widać, moje życzenie się spełniło. – Wsunęła pierścionek na palec. – A teraz do łóżka, nie będziemy igrać z losem.

Seraphine czuła się zbyt zmęczona, żeby drażnić temat. Gdyby miała być ze sobą szczerą, musiałaby przyznać, że po prostu tchórzyła i wołała nie zajmować się demaskowaniem kłamstw. Mama zawsze miała w sobie mrok, a Seraphine bała się, że jeśli spojrzy mu prosto w oczy, to może on się stać również częścią niej. Zniszczyć ich kruche życie.

– Dobranoc. – Gdy wyciskała całusa na policzku mamy, mogłaby przysiąc, że dostrzegła iskrę w jej lśniących brązowych oczach. Przebłysk innego, tajemnego życzenia, które jeszcze się nie spełniło.

– Słodkich snów, świetliku.

Tej nocy Seraphine długo siedziała na parapecie, wypatrując pręgowanego kota, ale kiedy księżyc ustąpił miejsca rumieńcom świtu, w końcu zasnęła i śniła o straszliwych bestiach wyskakujących na nią z ciemności i szczerzących ostre kły.

ROK PÓŹNIEJ



Rozdział 1

SERAPHINE

W Fantome był środek nocy. Seraphine pędziła co sił w nogach, a Pippin dzielnie próbował dotrzymać jej kroku. Biegli wzdłuż Verne, kamiennoszarej rzeki wijącej się przez środek miasta jak arteria. Powiodła ich od łukowatej bramy na rogatkach przez dzielnicę północną do Drogi Kupca, gdzie znajdowały się liczne tawerny, rozświetlone i tętniące życiem, rozbrzmiewające pokrzykiwaniami pijanych marynarzy.

Seraphine ledwo odnotowała ich istnienie. Był początek jesieni, z nieba spadała mżawka, moczyła policzki i mieszała się ze łzami. Piers Seraphine płonęła, jakby ktoś zaciskał pięść wokół jej serca, nie miała jednak odwagi zwolnić. Nadal czuła zapach dymu, który kilka godzin temu wygonił ich z domu. Osiadł we włosach i ciężko zalegał w płucach.

„Biegnij dalej”, powtarzała sobie w myślach. „Nie oglądaj się”.

Za każdym razem, gdy w pamięci powracały obrazy pożaru, stanowczo próbowała je odpychać, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Pierwszy szok ustępował, a spod niego wyłaniała się narastająca fala gniewu i rozpacz. Pytania kłębiły się w głowie, domagały się odpowiedzi.

„Nie zatrzymuj się. Nie myśl”.

Pippin wskakiwał w kałuże, usiłując schłodzić przypalony ogon. Po chwili jego szary kudłaty pyszczek ociekał wodą. Seraphine chciała wziąć go na ręce, ale się wyrwał.

– Co za paskuda – prychnęła. – Jak sobie chcesz.

O święci, jak strasznie bolały ją nogi. Kości były jak z ołowiu. Ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie. Wolałaby jechać teraz konno, czuć pod sobą pewne, szybkie ciało Scout, ale gdy wybuchł pożar, jabłkowita klacz pognąła w panice przed siebie. Seraphine nie mogła tracić czasu na poszukiwania, a teraz było za późno, żeby zawrócić. Sama chyba cudem uniknęła śmierci. Widać święta Oriel, patronka przeznaczenia, miała wobec niej inne plany.

Seraphine nie dorastała pośród zgiełku stolicy Valterre, ale odwiedzała ją tyle razy, że znała rozkład ulic równie dobrze jak ulubione konstelacje i wiedziała, jak bardzo jest tam niebezpiecznie po zachodzie słońca.

Kiedy była mała, mama co niedziela zabierała ją na wycieczkę do Fantome. Bładym świtem wyruszały z domu na równinach i wczesnym przedpołudniem docierały wozem na miejsce. Na targu w porcie mama kupowała ciastka z marmoladą i kremem waniliowym, a potem przechadzały się wzdłuż nabrzeża, chichocząc i zlizując cukier z palców.

Później godzinami buszowały w Domu Książek Babette. Seraphine zawsze wybierała jakąś zaczytaną baśń, a mama, niezmiennie kierująca się intelektem, nieustępliwa w sięganiu poza granice wyobraźni, ślezczała nad pożółkłymi encyklopediami o alchemii i wynalazkach, zapisanymi tak drobną czcionką, że Seraphine musiała mrużyć oczy, by coś odczytać.

Kiedy zapalały się latarnie i robiło się chłodno, ruszały w drogę powrotną. Mama mocno ścisnęła dłoń Seraphine, gdy opuszczały ciemniejące miasto, ponieważ w zapadającej nocy grasowały Płaszczki i Sztylety. Skłócone gildie złodziei i najemnych zabójców czerpały moc z Mroku – jedynej magii, którą niegdyś błogosławione królestwo Valterre pozostawiło do swojej dyspozycji. Mrok był substancją, nad którą potrafili panować ci wystarczająco odważni, by zejść do podziemi, bądź wystarczająco głupi, by do nich spaść. Drobnym czarnym proszkiem był banalnym materiałem, niegodnym boskiego majestatu świętych, którzy niegdyś żyli w Valterre,

tej dwunastki zrodzonych z magii postaci, które ponad tysiąc lat temu stworzyły miasto, napęłniły je życiem i pięknem oraz nadały mu blask równy gwiazdom.

Mrok był pyłem, który pozostał po utraconym złotym wieku. Ulotną materią, która potrafiła poddać cienie woli człowieka. Ktoś biegły w sztuce czarnej magii i wyszkolony w którymś z zakonów mógł wykorzystywać Mrok, żeby kraść, szpiegować, mordować czy dokonywać zemsty. Przetrwąć.

Sztylety spożywały go w niewielkich dawkach, by na pewien czas przemieniać swe ciała w śmiercionośny oręż, potrafiący zabijać ledwie jednym dotknięciem. Płaszcz nie jadały Mroku, za to nosiły go na sobie, dzięki czemu mogły stapiać się z ciemnością i pod jej osłoną pozyskiwać wszystko, czego tylko zapragnęły. Uważały się za szlachetniejsze od swoich rywali, ale każdy sposób posługiwania się tym rodzajem magii oznaczał kuszenie losu.

Mama pracowała jako szmuglerka, więc Mrok był zawsze obecny w życiu Seraphine, zarówno jako nieobrobiona roślina z długimi korzeniami o nazwie kostojad, pochodząca z dalekich wzgórz Valterre, jak i w formie drobnego czarnego proszku, w który zmieniała się po pracochłonnej obróbce obejmującej pieczenie i ścieranie.

Seraphine napełniała proszkiem nieprzeliczone fiolki, ale nigdy nie odważyła się na samodzielne eksperymenty. Nawet dotyk szkła mroził palce jak lód. Zimne ostrzegawcze tchnienie. I zawsze słyszała głos mamy udzielający jej nauk, kiedy pracowały obok siebie przy blacie, nieustannie przypominający, że Mrok to tylko coś, czym się zajmują, a nie coś, co stanowi ich istotę.

„Jesteśmy zaledwie pośredniczkami, świetliku. Ni mniej, ni więcej”.

Ale nie do końca było to prawdą. W przypadku Mroku nie istniały żadne półśrodki. Zajmowanie się magią równało się igraniu z ogniem i w ostatecznym rozrachunku zawsze ktoś się sparzył.

Wiek Świątych skończył się dawno temu.

W nocy Płaszcz i Sztylety brały miasto w panowanie. Mama wiedziała, jak się trzymać na dystans, a Seraphine, dorastając pod jej opieką, zawsze w zimnym cieniu Mroku, też się tego nauczyła.

Z czasem wycieczki do miasta stawały się coraz rzadsze, jakby mama się bała, że nawet w biały dzień ktoś może je porwać z ulicy. Jakby uznała, że lepiej w ogóle tam nie bywać, o ile to tylko możliwe. Lepiej siedzieć w bezpiecznie oddalonym domu na równinach, niż wałęsać się po ciemnych, podejrzanych zakamarkach, gdzie każdy – nawet jeden z nocnych strażników króla – mógł się znaleźć w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze.

Mama niemal przez całe życie oglądała się przez ramię, ale mimo wszelkich środków ostrożności naraziła się na gniew gildii.

Tylko dlaczego teraz? To pytanie dręczyło Seraphine, jakby gryzło ją po piętach.

„Przestań”, syknęła w myślach. „Nie oglądaj się”.

Noc była cicha, a jej myśli zbyt głośne. Wspomnienia kłębiły się w głowie, ścisnęły w gardle. Dotarłszy do Dzielnicy Uczonych, zwolniła kroku. Z trudem walczyła z mdłościami. Wysokie, ozdobne budynki patrzyły na nią z góry, piękne witrażowe okna wyglądały jak oczy rozszerzone zaciekawieniem.

„Przed czym uciekasz, Seraphine Marchant?”, zdawały się szeptać.

Słyszała dudnienie swojego serca i szczekanie zębów. Na rynku ciężko usiadła na ławce pod gruszą, zacisnęła zbielełe palce na podłokietniku. W jej głowie wciąż trzaskały płomienie, a pośród rozszałych biczów czerwieni i złota... leżała mama.

Wspomnienie wzniosło się jak fala przyływu i w nagłej ciszy Seraphine mogła tylko się mu poddać.

Zachodzące słońce oblewało blaskiem pola kukurydzy, kiedy Seraphine i Pippin wracali z polowania do domu, z rezygnacją powłócząc nogami, bez żadnej zdobyczy, choćby w postaci jednego marnego królika.

Jasne, nieźle się bawili podczas gonitwy po wzgórzach. Seraphine zatrzymała się na najwyższym z nich i stoczyła po zboczu tylko po to, by sprawdzić, czy znajdzie się na dole szybciej niż Pip, oraz zbadać, ile trawy zdoła przy okazji zebrać między zębami. Okazało się, że całkiem sporo. W dłoni ścisnęła bukiet hiacyntowców, podarunek dla mamy za to, że dała jej wolne popołudnie. I może trochę też łapówka na poczet przyszłej swobody.

Kiedy pokonali znajomy zakręt, w oddali pokazał się dym. Pip rzucił się biegiem w tamtą stronę, a Seraphine tylko się zaśmiała, zaskoczona tym nagłym ożywieniem, bo wcześniej była pewna, że wykończyła psiaka podczas wyprawy. Ale kiedy znalazła się bliżej, śmiech zamarł jej w gardle. Dym gęstniał, jak na wstęgę z komina był stanowczo zbyt wysoki, zbyt gęsty, zbyt czarny i duszący, i... kwiaty wypadły jej z ręki.

Popędziła w stronę domu. Płuca jej płonęły, serce waliło jak szalone. Minęła ostatnie z niedużych wzniesień i zobaczyła płomienie. Otaczały budynek rozszalałym kręgiem, niczym smok próbujący go pożreć. Seraphine słyszała w głowie ogłuszający ryk, z tego wszystkiego aż zapomniała oddychać.

Płomienie się rozstąpiły, jakby uznały siłę jej przerażenia za rozkaz. A tam, tuż za otwartymi drzwiami, leżała matka. Już nie żyła. Płonęła.

I nie stał nad nią żaden smok, tylko człowiek. Nie znała tej sylwetki, wysokiej i barczystej, ani falujących włosów. Dym zakrywał twarz, nie licząc dzikich oczu zasnutych rtęciowym srebrem.

W gardle Seraphine zbierał się krzyk, dusił ją. A może to był dym? Nieważne. Ruszyła dalej w stronę mordercy matki, który już odchodził niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach, jakby się wybierał na spacer po ogrodzie. Jakby takie rzeczy były dla niego codziennością.

A ona wiedziała, o święci, doskonale wiedziała, kto to jest.

Najemny zabójca, szkolony w ciemnym sercu Fantome i przysłany tutaj przez Gasparda Duforta, niesławnego przeora Zakonu Sztyletów.

Mama stała się jego celem.

Gdyby Pippin tak uparcie nie skomlał i nie ciągnął jej za brzeg spodni, pewnie rzuciłaby się prosto w płomienie, by zatrzymać zabójcę. Ale pies jej nie pozwolił, obudził w niej pierwotny instynkt, który kazał uciekać.

Uciekać, biec przed siebie i za nic się nie zatrzymywać.

A teraz, na rynku pogrążonym w ciszy i ciemności, Seraphine poddała się fali wspomnienia, ze świadomością, że powróci ono jeszcze nieraz, by boleśnie kasać brzegi jej duszy. To pytanie jak rekin skryty w odmętach.

„Och, mamó. Coś ty narobiła?”

Pochyliła się i próbowała odzyskać oddech, ale nie mogła. Głowa za bardzo jej ciążyła, a serce było przecięte na pół. Czuła, że jeśli teraz się wyprostuje, rozpadnie się ono na kawałki.

Pippin zaskowyczał u jej stóp, ale go zignorowała. Wskoczył pod ławkę i się obrócił, tak że teraz widziała jego drobny pyszczek i proszący wzrok. Zacisnęła powieki.

– Nie, Pip. Jestem taka zmęczona.

Tryknął ją w łydkę i znów zaskomlił, jakby chciał powiedzieć: „Ruszaj dalej!”.

Mały uparciuch. Seraphine jęknęła. Jeśli teraz się podda, zostanie na tej ławce i będzie biernie czekać, aż dopadnie ją to samo zło, które zabrało mamę, to co się stanie z Pippinem? Miał tylko ją. Podniosła głowę i przeczesła włosy palcami. Świat dokoła nabrał ostrości – delikatna zieleń gruszy, chłodny dotyk żelaznej ławki.

Seraphine zacisnęła palce na złotym wisiorze w kształcie łyż i sięgnęła po inne wspomnienie o matce. Zobaczyła ją nie taką jak tamtego wieczoru, ale taką jak miesiąc wcześniej, w poranek Dnia Świętych. Mama przez całą noc nie zmrużyła oka, bo pracowała nad tą ozdobą. Tuż po wschodzie słońca włożyła ją w dłoń Seraphine niczym talizman.

„Wesołego Dnia Świętych, mój świetliku”. Jej brązowe oczy były zmęczone, ale uśmiech miała promienny.

Seraphine, półprzytomna, właśnie rozpaczliwie przetrząsała szafki kuchenne w poszukiwaniu remedium na kaca. Poprzedni wieczór okazał się stanowczo zbyt rozrywkowy. Ze stanowczo za dużą ilością wina. Zaskoczył ją ten prezent. Wcześniej ustaliły, że w tym roku niczego sobie nie dają, a mama nie należała do sentymentalnych osób. Ponad błyskotki ceniła wiedzę i przez długie lata zapełniała pokój Seraphine nie ładnymi ubraniami czy biżuterią, lecz książkami i mapami – rysunkami ze świata sięgającego daleko poza granice Fantome. Ale wisior – ten wisior – nie był zwykłą ozdobą. A tego ranka mama zachowywała się inaczej. „Nigdy go nie zdejmuj i myśl o mnie”, powiedziała niemal błagalnie. „Niech cię chroni, gdy ja nie będę mogła, Sero”.

Ten dzień nadszedł szybciej, niż się spodziewały. Nie licząc dymu we włosach i psa, ta złota łezka była wszystkim, co zostało po mamie i domu

na równinach. Drobnny płomyk w świecie niespodziewanej ciemności. Seraphine czuła tak wielki ból po stracie, że miała chęć krzyczeć.

Nagle Pippin zawarczał. Uniosła wzrok, spojrzała na dach Marlowe, najstarszego muzeum w Fantome i w całej Valterre. Tej nocy gmach wydawał się wyższy i ciemniejszy.

– Pip, to tylko gargulec – powiedziała, ale poczuła ciarki na plecach. Tuż obok wieży zegarowej zafalował niewyraźny cień. Mogłaby przysiąc, że dostrzegła jakąś postać w blasku księżyca, ta jednak znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Seraphine uświadomiła sobie, że za długo tu zabawiła. Wysokie budynki oznaczały długie cienie, a w tym mieście cienie były niebezpieczne. Mogły kryć w sobie wszystko. Każdego. W tym zabójcę z Zakonu Sztyletów, który zamordował mamę.



Rozdział 2

SERAPHINE

Wieża Aurory wznosiła się dumnie w oddali jak świeca rzucająca migotliwy blask na miejskie zabudowania. Niemądrze było oddalać się zbyt od jej światła, ale nigdy nie docierało ono do Pustek, szemranego obszaru we wschodniej części stolicy, gdzie dom znaleźli wszelkiego rodzaju nieszczęśnicy i wyrzutki: żebracy i złodzieje, cwaniacy i awanturnicy, zbiegowie i zbiry, sieroty i świry, i wszyscy inni szukający lepszego życia.

Ponieważ w miejscu tym była też magia.

A przy odrobinie szczęścia mógł do niej doprowadzić czubek ciekawskiego nosa Pippina. Sera jeszcze bardziej przyspieszyła.

Kiedy zegar na wieży wybił pierwszą, usłyszała w myślach głos mamy: „Jeśli coś mi się stanie, musisz się dostać do Domu Armanda. Przejdź przez Pustki, biegnij, aż zgasną latarnie. Pippin cię poprowadzi”.

Ale Pippin właśnie przystanął, żeby dokonać inspekcji liścia.

Kiedys dziwiło ją, że pięć lat temu mama tak chętnie przyjęła pod dach roztrzęsionego pieska bez jednej nogi. Nie przepadała za psami. Za ludźmi zresztą też nie. W tamtych czasach biedaczek był tak strachliwy, że bał się własnego cienia. Ale mama wiedziała, że przed wypadkiem Pippin był tropicielem. Wyczuwał magię. I zawsze wychodził cało z opresji.

Seraphine zastanawiała się, jak mama zdołała przewidzieć swoją potworną śmierć. Nie należała ani do Płaszczy, ani do Sztyletów, ale przez długie lata parała się szmuglowaniem Mroku. Wymieniała magię na monety i w związku z tym musiała przebywać w podejrzanych rejonach na granicy dobra i zła. A wszystko po to, by zapewnić córce lepsze życie.

Mrok był równie rzadki, jak niebezpieczny. Wyszukiwały go psy tropiące daleko poza granicami miasta, a wytrawni szmuglerzy, tacy jak Sylvie Marchant, doskonale znający sztukę przyrządzania proszku, skupowali go i sprzedawali nielicznym, którzy wiedzieli, jak się nim posługiwać, tak by przy okazji nie ulec jego mocy: Sztyletom i Płaszczom. Po cichu Sera zawsze się bała, że podziemie w końcu obróci się przeciwko nim. Bo czy można liczyć na honor najemnych zabójców i złodziei?

Tylko dlaczego akurat teraz? To pytanie wciąż nie dawało jej spokoju. I dlaczego pożar?

Może mama od początku wiedziała, że pewnego dnia ich świat zginie w płomieniach, a jej córce zostanie tylko Pippin. Może dlatego pięć lat temu go umyła i założyła mu kokardkę na szyję, po czym przedstawiła go Seraphine tak uroczyście, jakby był wcieleniem świętej Orieli.

Sera natychmiast go pokochała.

A teraz, wciąż szczękając zębami, zawołała, żeby się pospieszył. Idąc za nim przez opustoszałe ulice i patrząc na merdający osmalony ogon, czuła miłość tak intensywną, że graniczyła ona z bólem. Po chwili małe łapki przyspieszyły – znaleźli się niedaleko Pustek, a zapach Mroku przybrał na sile.

Dom Armanda, ukryty na rubieżach Pustek, służył za siedzibę sekretnego Zakonu Płaszczy. Najwybitniejsi złodzieje z Fantome nieustannie rekrutowali zagubione dusze skuszone bezpieczeństwem i wygodami, powabem magii i szansą na nowe życie.

Tej nocy szczęście dopisało Płaszczom. Sera miała im dostarczyć świeżą kandydatkę i najśłodszy pieska po tej stronie Verne. Tylko nie mogła stracić odwagi, póki nie dotrze na miejsce.

„Nie zatrzymuj się. Nie myśl”.

W miarę jak zapuszczali się coraz głębiej w szemraną dzielnicę, Seraphine czujnie obserwowała cienie. Obskurne tawerny i podupadłe teatrzyki tłoczyły się wzdłuż wąskich uliczek pokrytych zniszczonym, popękanym brukiem, uwalonych kałużami wymiocin i zasypanych butelkami i śmieciami. Sera powtarzała sobie w myślach, że to nie jest terytorium Sztyletów, ale i tak nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś ją śledzi.

Że ktoś tam jest i ją obserwuje.

Nagle Pippin się zatrzymał i nisko zawarczał. Przeniósł baczne spojrzenie z dachu pobliskiej gospody na sąsiadujący z nią słabo oświetlony burdel. Sera poczuła ciarki na plecach, jakby przebiegł po nich pająk, i zacisnęła palce na zardzewiałym ostrzu w kieszeni. Żałowała, że nie zabrała ze sobą skuteczniejszej broni, ale wszystko pochłonął pożar. Musiała się zdać na nożyce ogrodowe mamy.

Pippin obszczekał przelotny cień.

Sera uniosła nożyce do ciosu.

– Wyłaż! Pokaż się!

Powietrze zadrżało od dalekiego śmiechu. Na końcu ulicy, z tawerny tętniącej zabawą wytoczyły się trzy kobiety. Obok przeszedł rozczochny mężczyzna o zmęczonych brązowych oczach.

Nie był Sztyletem.

Sera odetchnęła z ulgą, rumieniąc się z zażenowania.

Ale Pippin nadal się jeżył.

Po dachu burdelu przemknął kolejny cień. Sera chwyciła z parapetu pustą doniczkę i cisnęła nią w tamtą stronę. Doniczka poszybowała wśród ciemności, uderzyła w dach i roztrzaskała się na drobne kawałki.

Sera mogłaby przysiąc, że usłyszała stłumiony śmiech.

Pobiegła dalej, z szybko walącym sercem, tam, gdzie ulice stawały się coraz cichsze, a latarnie stopniowo gasły.

– Idź wzdłuż żywoplotów – mruknęła pod nosem, śledząc w myślach mapę, która zawsze wisiała na ścianie w jej pokoju.

Pippin gnał przodem z nosem przy ziemi. W końcu ukazał się liściasty żywoplot. Odcodził w bok od ulicy, a po chwili wspinał się w górę i kłębił się masą pnączy owiniętych wokół jakiegoś ogromnego kształtu,

który w ciemności wyglądał jak imponujący budynek. Albo raczej jego zarys, przestrzeń, w której mógłby stać, jeśli w ogóle coś tam było.

Właśnie tego szukała.

Dom Armanda był bowiem ukryty za pomocą zaklęcia. Kamienne mury powleczone Mrokiem, tak że zlewały się z ciemnością. Dlatego Sera widziała pnącza porastające gmach, ale okien i drzwi już nie.

„Wypatruj miejsc, gdzie cienie marszczą się jak tkanina poruszana powiewem wiatru”, usłyszała w głowie szept mamy. Zabrzmiiał tak realistycznie, że się obróciła i poszukała jej wzrokiem w ciemnościach... ale nic tam nie było, nie licząc szelestu opadających liści, cichego bębnienia deszczu i...

Szlag. Dalej, w głębi ulicy – para srebrnych oczu. Nieomylna cecha Sztyletów. Tym razem, gdy Sera wzięła Pippina na ręce, psiak nie próbował stawiać oporu. Pognęła wzdłuż żywopłotu, desperacko wypatrując wejścia. W końcu znalazła szczelinę. A dalej – furtkę! Pchnęła ją, zatrasnęła za sobą i drżącymi palcami założyła haczyk. Oczywiście byłoby głupotą wierzyć, że Sztylet tam nie wejdzie, ale Sera liczyła na to, że nie będzie taki chętny wkraczać na teren Płaszczy i naruszać wyznaczonych granic.

Byłoby to niezgodne z zasadami.

Gałązki muskały jej policzki, gdy biegła zarośniętą ścieżką. Nadal nie widziała drzwi ani okien. Nie widziała budynku.

– No dalej – mruknęła głosem zdławionym paniką. – Potrzebne mi wejście.

„Cierpliwości, Sero. Światło w końcu się pokaże”.

Kiedy księżyc wychynął zza gęstych chmur, podążyła wzrokiem za skrawkiem blasku odbitego w rynnie. Cienie się zmarszczyły. Na krótką chwilę zaklęcie przysło i Sera zobaczyła okno. A w nim twarz.

– Pomocy! Proszę! – Niespokojnie krążyła tam i z powrotem, bacznie ścigając plamy księżycowej poświaty, aż wreszcie dostrzegła wielką mosiężną kołatkę. Podbiegła do niej czym prędzej, zanim ta zdążyła zniknąć, i zapukała trzy razy. – Halo! Czy ktoś mnie słyszy?

Minęła chyba wieczność, ale w końcu drzwi się uchyliły, a cienie spowijające Dom Armanda się rozstały. W progu ukazała się przerażająco

blada kobieta w czerni, drobna i przygarbiona, o mlecznoniebieskich oczach i skrzywionej pomarszczonej twarzy.

Przeciągle popatrzyła na Serę i zaskrzeczała:

– Nie.

– Ale... – Drzwi zatrasnęły jej się przed nosem. A potem znikły bez śladu. – Czekaj! Wróć!

Pippin szczekał zaciekle, ale kobieta więcej się nie pokazała. Sera obróciła się, zrozpaczona. Księżyc też ich porzucił. Gdzieś niedaleko skrzypnęła furka.

O nie. Nie ma mowy. Nie zamierzała się poddać, skoro dotarła aż tutaj. Pobiegła za róg, z sercem walącym jak młotem. Podążała wzdłuż ściany gęstych pnączy i po chwili dotarła do kolejnej furki, prowadzącej, jak się okazało, do ogrodu na tyłach. Ale była zamknięta na klucz. Sera kopła w nią tak długo, aż metal się odkształcił i powstała wąska szpara, przez którą udało jej się przecisnąć.

Na tyłach budynku, w ciemnościach, których nie rozświetlała nawet odrobina księżycowego blasku, Sera zebrała garść kamyków z najbliższej rabaty i zaczęła nimi rzucać, jeden po drugim.

Trzy pierwsze trafiły w coś z głuchym stukotem, jakby uderzyły w kamienną ścianę. Następne cztery bezgłośnie zatonęły w pnączach. Ale w końcu, gdy Sera już miała się poddać, rozległ się upragniony brzdęk. Okno. Rzuciła jeszcze trzy w tę samą stronę.

Brzdęk! Brzdęk! Brzdęk!

Nie zdążyła cisnąć więcej, bo nagle opodał coś świsnęło. To otworzyły się drzwi na tyłach. Ciemności przebiło pasmo złocistego światła. Sera rzuciła się biegiem w tamtym kierunku.

– Azyl! – krzyknęła rozpaczliwie. – Przyszedłem prosić o azyl!

Tym razem w progu stała inna kobieta, niesamowicie wysoka i szczupła, o ciemnobrązowej skórze, przenikliwych brązowych oczach i krótko przyciętych czarnych włosach. Mimo późnej pory jej wargi połyskiwały ciemną czerwienią. Miała na sobie powłóczystą zieloną szatę przewiazaną jedwabną szarfą, pachniała jak tuberoza i niebezpieczeństwo. Sera natychmiast ją rozpoznała. Wiele razy zachwycała się jej wizerunkami w prasie brukowej, ale widząc ją teraz na własne oczy, czuła się jak w pięknym śnie.

Madame Cordelia Mercure, opiekunka Domu Armanda i przeorysza Zakonu Płasczy, zmierzyła ją wzrokiem z krytycznie zaciśniętymi wargami.

– Nie ma potrzeby tak dramatyzować.

– Przepraszam – odparła Sera. – Ja tylko...

– Próbowalaś wybić mi okna?

– Próbowalam zwrócić pani uwagę.

Madame Mercure machnęła ręką.

– Aha. No to mów – odparła znudzonym głosem.

– Jestem Sera Toussaint. – Nie była to do końca prawda, ale na razie wolala nie komplikować spraw. Być może Madame Mercure wiedziała, co się przydarzyło jej matce. Gdyby poznała prawdziwą tożsamość Seraphine, jako przeorysza Zakonu Płasczy na pewno nie zgodziłaby się mieszać w sprawy Sztyletów i odmówiłaby jej schronienia. O nie. Sera wiedziała, że tu potrzebny jest spryt. – Ja... cóż, moja matka zmarła.

Madame Mercure uniosła cienką brew.

– I co niby mam z tym zrobić?

– Jestem... zagubiona. – Przy ostatnim słowie ścisnęło ją w gardle. Usiłowała wzbudzić współczucie w Madame Mercure, ale zdołała osiągnąć tyle, że niemal doprowadziła się do łez. Kiedy wspomniała o stracie, poczuła, jakby wielki kamień odebrał jej głos. – Nie mam dokąd pójść.

Madame Mercure sięgnęła do kieszeni. Kiedy wyjęła rękę, nic w niej nie było, ale gdy przeciągnęła nią przez snop światła latarni i machnęła nadgarstkiem, nie wiadomo skąd pojawiła się chusteczka.

– Płacz to coś okropnego – powiedziała, podając ją Seraphine. – Wywołuje u mnie głęboki dyskomfort.

Sera wzięła chusteczkę i natychmiast się zorientowała, że jest ona zrobiona z Mroku. W ciemności zdawała się znikać, ale przez cały czas mrowiła na opuszkach palców. Sera otarła policzki. Razem ze łzami pojawiła się czarna smuga, jakby sadzy, ale niemal natychmiast znikła, a chusteczka znów wyglądała jak nowa. Pippin uniosł łeb, żeby ją po-
niuchać.

Madame Mercure nerwowo drgnęła.

– A to dopiero! Gryzoń.

– Pippin to pies. – Sera mimowolnie się zjeżyła. – Miły i łagodny. Madame Mercure podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Ma świerzb?

– Nie. Jest bardzo zadbany.

– A nie wygląda. – Madame Mercure ponownie zmierzyła Serę wzrokiem. Zatrzymała spojrzenie na przysmalonych końcówkach włosów i złotym wisiorku w kształcie łyżki, który delikatnie lśnił w ciemności. – Ty też nie. Jak zmarła twoja matka, przypomnij?

Sera zobaczyła w myślach obraz mamy leżącej na podłodze w kuchni. Jej twarz była tak poszarzała, że nie różniła się od opadającego wokół popiołu. Białka oczu stały się całkiem czarne. Wargi też. Takie ślady zostawiała śmierć z ręki Sztyleta, ta magia Mroku, która wydusiła z mamy całe światło i życie w ciągu dziesięciu uderzeń serca.

– Zaraza. – Żółć podeszła jej do gardła. – Płuca nie dały rady.

Madame Mercure skrzywiła wargi. Najwyraźniej wyczuła kłamstwo.

– A ty chcesz zostać Płaszczem? – spytała, zabierając chusteczkę.

Sera przytaknęła. Jaki miała wybór? Niby gdzie mogłaby się schronić?

Madame Mercure spojrzała ponad jej ramieniem. Jej nozdrza się rozszerzyły, jakby wyczuła ruch w ciemnościach. Pippin uniósł łeb, chyba też coś zauważył.

– Powiedz mi, Sero Toussaint: czy masz w sobie dość odwagi, żeby zostać złodziejką?

– Tak – odparła Sera, podkurczając palce, dusząc kłamstwo w dłoni.

Madame Mercure patrzyła na nią bacznie jeszcze przez chwilę, jakby zastanawiała się nad ostateczną oceną. W końcu przesunęła się na bok i powiedziała:

– Vincent przygotuje ci pokój. Zorganizuje też niewielkie stypendium na ubrania i kosmetyki. Mieszkanie i wyżywienie za pierwszy miesiąc to zaliczka na poczet twojej pierwszej pracy, która będzie także testem. Wszystkie zyski idą na Dom. Kolejne zlecenia będą dzielone pół na pół. Wkrótce poinformuję cię o pierwszym zadaniu. Bądź gotowa.

– Dziękuję. Dziękuję.

Sera czym prędzej wskoczyła do środka, z obawy, że zaproszenie wygaśnie. Kiedy otoczyły ją ciemności Domu Armanda, zadrżała z ulgi. Pippin

polizał jej rękę, chcąc ją uspokoić. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła, że znajduje się w ogromnej kuchni, największej, jaką kiedykolwiek widziała. Powierzchnie z czarnego granitu lśniły, tu i tam stały kryształowe wazony pełne świeżych róż. Z wysokiego sufitu zdobionego gzymsem zwisały aż trzy migotliwe żyrandole, a na ścianach było tyle bezcennych obrazów olejnych, że spokojnie można by z nich stworzyć całą galerię sztuki.

Madame Mercure stanęła przed Serą i tym samym zasłoniła jej widok.

– Jeszcze te nożyce w twojej kieszeni. Zostaw je przy tylnym wejściu. W Domu Armanda broń jest zakazana. – Z kieszeni szaty wyjęła komplet kluczy. Na łańcuszku kołysała się czarna miniaturowa maska karnawałowa o ostro zakończonych końcówkach w kształcie skrzydeł. – W przeciwieństwie do naszych zdeprawowanych przeciwników Płascze nie igrają ze śmiercią. Jesteśmy szlachetnej natury, rozumiesz.

– Oczywiście. Rozumiem. – Sera wyjęła nożyce i z wahaniem położyła je na progu, tłumacząc sobie w myślach, że i tak trzeba by znacznie lepszego oręża niż zardzewiały sprzęt ogrodowy, by załatwić zabójcę mamy.

Ale wszystko w odpowiednim czasie.